ROK DRUGI.

—

№ 27.

Warszawa

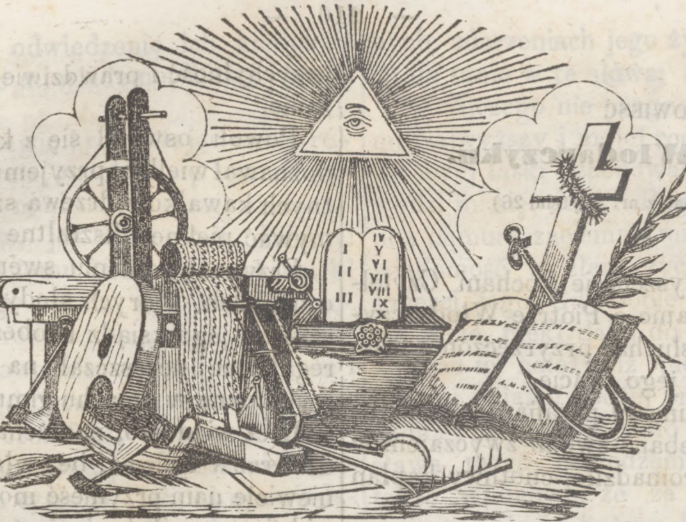
Dnia 23 czerwca

(5 lipca)

1857.

Niedziela

4 po ŚWIĄTKACH.



REDAKCYA
CZYTELNI
przy ulicy Chmielnéj
Nr. 1527.

PRENUMERATA
rocznie w Warszawie rsr. 1 k. 80, półrocznie k. sr. 90, kwartalnie k. sr. 45, miesięcznie k. sr. 15. Na prowincyi i w Cesarstwie rsr. 2 rocznie, a z kopertami rsr. 4. Kto zaś już prenumeruje w kopercie jedno z pism perjodycznych warszawskich, płaci tylko rsr. 2 rocznie.

„Raczéj zbraknie biednych, aniżeli chleba, jeżeli wszyscy wiernie pełnić będziecie obowiązki wasze." (Ś. Wincenty à Paulo).

CZYTELNIA NIEDZIELNA.

Ku temu pilnie dążyć powinieneś, abyś w każdem miejscu, sprawie, lub zatrudnieniu wewnątrz był swobodnym i panem samego siebie, abyś był władcą postępków twoich, nie sługą lub najemnikiem. (O naśl. Chr. K. 3. R. 38).

Spowiedź.

—

Spowiedź gdy z wiarą, w niéj szczera skrucha,
Odmładza serce, oczyszcza ducha;
Bo żal za grzechy do Nieba zbliża,
Zapewnia tryumf wyznawcom krzyża.

Spowiedź modlitwą jest przed kapłanem,
Co nas połącza z Chrystusem Panem;
Bo w nas przez spowiedź jak do Świątyni
Chrystus zstępuje, łaski w nas czyni.

Spowiedź, to droga cnoty i wiary,
Którą iść winien młody i stary,
Bo mu tor życia piękny przedstawia,
Od zwątpień chroni, od błędów zbawia.

Spowiedź, to źródło czystéj kąpieli,
Bo po niéj ludzie w duchu są bieli,
A tacy bieli, jakoby Święci,
Gdy są miłością Boga przejęci.

Spowiedź, to płomień, co rdzę wypala,
I samą czystość w duchu ocala,
Gdy tym płomieniem duch twój zapłonie,
To jak w liliowéj zalśnisz koronie.

Spowiedź jest dla nas cnoty jutrzenką,
Snieżną, niewinną duszy sukienką,
A kto w sukienkę tę się przystroi,
To zawsze Anioł-stróż przy nim stoi.

Spowiedź, to słońce, co burzę niszczy
I w życia burzy nadzieją błyszczy;
Pod takiem słońcem i myśl dojrzewa,
I w moc wytrwałą ducha odziewa.

Spowiedź, to jasne odbicie tęczy,
Co przez nią Niebo do nas się wdzięczy,
A tak się wdzięczy, tak nam się śmieje,
Że w duszy błogą rodzi nadzieję.

Więc spowiedź z wiarą, gdy w niéj jest skrucha,
Odświeża serce, upięknia ducha;
Bo żal za grzechy do Nieba zbliża,
Zapewnia tryumf wyznawcom krzyża.

———

POWIEŚĆ

O Błażeju Włodarczyku.

(Ciąg dalszy, patrz nr. Czytelni 26).

—

Niedawno temu, słyszeliście kochani Czytelnicy smutne opowiadanie o Piotrze Włodarczyku; dziś chciejcie posłuchać przyrzeczonéj wam powieści o młodszym jego bracie.

Gdy się znów kilkunastu parafian ze wsi Komornik u księdza Plebana swoim zwyczajem w wieczór niedzielny zgromadziło, cnotliwy kapłan tak daléj mówił:

—Jak wam wiadomo, dwaj bracia pomodliwszy się u krzyża, pożegnali się z sobą, i każdy poszedł w inną stronę. Błażéj postępując gościńcem od Częstochowy, zaszedł jeszcze tego dnia wieczorem do miasta Piotrkowa. Nie mając tam żadnéj znajomości, nie wiedział, co z sobą począć, ale rozważając sobie zbawienne rady księdza Proboszcza, zaczął od Boga. Napotkawszy więc pierwszy po drodze kościół OO. Bernardynów, zwrócił się ku niemu, i uklęknąwszy na dworze przed zamkniętemi wielkiemi drzwiami jego, modlił się gorąco, prosząc Pana Zastępów o pomoc i łaskę przy pierwszym na świat wstępie. Powstawszy, nabrał otuchy w sercu, a przeszedłszy jeszcze parę ulic, udał się do domu zajezdnego, aby tam w ogólnéj izbie zanocować. Gospodarz, widać człek jakiś dobry, łaskawie przywitał młodego podróżnego, i niebawem wszedł z nim w rozmowę, z któréj dowiedział się, że Błażéj idzie w świat za chlebem. Wypytawszy go się o różne okoliczności życia jego, odgadł zapewne, że rozmawia z poczciwym chłopcem, bo mu zaraz doradził, aby wszedł w termin do tokarza miejscowego, jemu znajomego, bardzo porządnego majstra, gdyż właśnie w tym czasie potrzebował chłopca. Z wdzięcznością Błażéj przyjął tę radę, i jeszcze tego samego wieczora, oddawszy swe świadectwo tokarzowi, pozostał na nocleg u niego.

Tak tedy odetchnął Błażej z niespokojności o los swój przyszły i nazajutrz zaraz wziął się do roboty. Czując już od dzieciństwa chęć do pracy, z wielką gorliwością zajął się tém nowem zatrudnieniem, a żywiąc wgłębi duszy wdzięczność dla majstra za danie mu przytułku przy pierwszym kroku w świecie, okazywał mu zawsze przychylność i prawdziwie synowskie przywiązanie.

Powoli oswajał się z kunsztem tokarstwa, i doznawał wielkiéj przyjemności, gdy z niekształtnych kawałków drzewa szybko już mógł otrzymywać piękne i kształtne wyroby.

Przy zatrudnieniu swém nie zapominał on i o naukach, których słodycz dał mu poznać łaskawie jego ksiądz Proboszcz; co niedziela też regularnie uczęszczał na nauki rzemieślnikom wykładane w gmachu gimnazyalnym.

Lecz wiadomo, iż słuchanie nauk po parę godzin raz w tydzień, bez własnego przyłożenia się niewiele nam przynieść mogą korzyści; Błażéj to widać przeczuł, bo jeszcze wieczorami poświęcał nieco czasu na kształcenie się dalsze przy pomocy książek, których mu nauczyciele chętnie udzielali, jako pilnemu i porządnemu uczniowi. Coraz też więcéj doznawał wewnętrznego zadowolenia z nauk, które co chwila nowe skarby odkrywać są zdolne. Nie chciał on jednak sam tylko korzystać z tego, co umiał, ale dzielił się swemi wiadomościami i z drobnemi jeszcze dziećmi swego majstra, który na prośby jego zezwolił mu w chwilach wolnych przepędzać czas na udzielaniu im początkowych wiadomości.

Tak mu upłynęło prawie 3 lata. Majster widząc go ciągle chętnym do pracy i pełnym przywiązania ku sobie, a przytem i dosyć już obznajmionym z tokarstwem, odezwał się raz do niego w te słowa:

— Mój Błażeju! dziękuję Bogu, że mi cię zesłał; widzę, iż i nadal będziemy mieli wspólną korzyść z siebie—skracam ci więc o rok jeden czas terminu, aby nagrodzić twą zdatność i poczciwe serce.

Ze łzą w oku podziękował Błażéj majstrowi, i z nową chęcią i z podwójną usilnością przykładał się do pracy.

Gdy już lat parę był czeladnikiem, majster sam, pragnąc jego dobra, doradził mu, aby w celu różnostronnego ukształcenia się w tokarstwie, popracował w innych miejscach, a przedewszystkiem w Warszawie. Błażejowi niełatwo przyszło zmienić miejsce, gdyż mając serce czułe, przywiązywał się zawsze szczerze do tych osób, z któremi żył długo, a szczególniéj gdy od nich odbierał dowody szczerości. Stłumiwszy jednak swą przykrość, pożegnał się z płaczem z całą rodziną tokarza, która także do łez wzruszona, życzyła mu powodzenia i prosiła za-

razem o pamięć i odwiedzenie ich kiedykolwiek, czego też, o ile mi wiadomo, Błażej późniéj dopełnił.

Dążąc ku Warszawie i rozważając sobie różne okoliczności życia, martwił się tem niewypowiedzianie, że nie miał najmniejszéj wiadomości o bracie, od czasu, jak się rozstali. Biedny! nie wiedział, że lat temu kilka, Piotrek uciekł jako przestępca z tego miasta, w którém on spodziewa się znaleść środki do lepszego wykształcenia się w swym zawodzie, a jeżeli być może i zabezpieczenia swego bytu i przyszłości.

Wiadomo jest, że czeladnicy wyzwoleni u majstrów łatwo znaleść mogą pomieszczenie w fabrykach. W owych czasach, jak mi opowiadano, dodał szanowny kapłan, nabierała już wziętości świeżo założona fabryka wyrobów platerowanych pana Fraget. Błażéj więc słysząc o tem, przybywszy do Warszawy, tam zwrócił kroki, gdyż chciał się z tego rodzaju tokarstwem obznajmić, a przedstawiwszy chlubne świadectwo, bez trudności otrzymał w niéj pomieszczenie.

Nietrzeba wam mówić, że i tu Błażéj przyszedłszy już do lat dojrzałych i powodując się zawsze rozsądkiem i poczciwością, był na swojém miejscu, i że tém samem zyskał i tu zadowolenie przełożonych. Na dowód zaś umiejętności jego w swym kunszcie, przytoczę wam tylko monstrancyą i kielich własnéj roboty, któreście nieraz zapewne oglądali w kościele rodzinnéj Błażeja parafii, a które on przysłał, lat temu będzie 10, jako dar wdzięczności żyjącemu jeszcze wówczas tamtejszemu Proboszczowi, za dobrodziejstwa, jakich doznał od niego w latach młodocianych.

Na dokończenie o nim powieści, dodam wam to jeszcze, że Błażéj Włodarczyk mieszka obecnie stale w Radomiu, gdzie ożeniwszy się, z zaoszczędzonych pieniędzy i z skromnego wiana swéj żony, założył sklep wyrobów tokarskich, że cieszy się powodzeniem, bo wyrób z jego warsztatów jest starannie wykończony; ma odbyt, bo przystępne ceny naznacza za swe towary.

Żyjąc w szczupłém gronie familjném, bo składającém się z żony gospodarnéj i najlepszej kobiety w świecie i z dwojga dzieci, których wychowanie sprawia mu największą przyjemność w życiu, jest bardzo szczęśliwym. Gdym się z nim widział, lat temu kilka i rozmawiał o różnych zdarzeniach jego życia, odezwał się wkońcu do mnie w te słowa:

— Niczego nie pragnę więcéj, jak tylko, aby mi Najwyższy i mojej rodzinie nie uchylił i nadal swéj łaski i zachował nas przy zdrowiu. Powodzi mi się, dzięki Bogu dobrze, i tylko jedna chmura zaciemnia mi szczęście moje, to jest wiadomość o złem życiu brata i o haniebnéj śmierci jego. Gdy sobie nieraz rozpamiętywam me życie, rzekł daléj do mnie, z przyjemnością wyznać mi należy, iż pierwsze pokierowanie w nauce i bojaźni Bożéj przez ś. p. Plebana z rodzinnéj méj parafii, stało się najgłówniejszą podstawą mego powodzenia i szczęścia. Jemu to także winienem, że za pomocą nauki wiedzieć mogę, co się na bożym świecie dzieje, że sam mogę prowadzić w mym handlu rachunki, bez czego trudnoby mi było obliczyć się z przychodem i wydatkami, i że sam dzieci moje tych samych zasad i nauk uczyć jestem w stanie, jakich od niego w młodości nabyłem.

— W takim to bycie zastałem go, kończył szanowny opowiadacz, kiedy ostatni raz z nim się widziałem; jest on szczęśliwym ojcem, bo był dobrym synem, jest zamożnym, bo był pracowitym i oszczędnym, jest szanowanym, bo przez uczciwość i zdatność w swym zawodzie na to zasłużył.

W dodatku przyjmijcie jeszcze choć kilka uwag do téj historyi, którąm wam opowiedział.

Co to za nieoceniona rzecz dobre wychowanie — co za nieszczęście, kiedy człowiek go niema! Ach! przyjaciele, jeżeli macie dzieci, pomyślcie często nad tem; starajcie się, żeby miały bojaźń Boga, poszanowanie dla prawa, miłość dla ludzi. Z takiemi zasadami nikt się pewnie nie zgubi, ale trudno bardzo bez nich się nie obłąkać.

Szanowny kapłan przestał mówić; całe zgromadzenie, co go słuchało, podziękowało mu jak najserdeczniéj i rozpamiętując przygody dwóch braci, w milczeniu rozeszło się do domów, a ja uniosłem ztamtąd błogą pamiątkę z lat młodych i niezatarte wrażenie z dotykalnych przykładów, wykazujących skutki złego i dobrego życia.

Dąb.

Dąb jest królem lasów europejskich; przemaga on w nich trwałością, wspaniałą postawą, a niekiedy ogromnemi wymiarami. Podają nam liczne przykłady ogromnej wielkości dębów w różnych krajach. Wspomnimy tu tylko, że za czasów pogaństwa sławne były u Prusaków ogromne dęby za świątynie podówczas służące, z których o kilku jeszcze po zaprowadzeniu chrześciaństwa, dziejopisowie wspominają. Sławnym także był na Żmudzi w powiecie Rosieńskim we wsi Borda, dąb zwany *Baublis*, pochodzący jeszcze od *Bubilisa*, bożka miodu u pogańskich Litwinów. Stał on wśród gaju na wzgórzu o 500 sążni od wspomnianéj wsi, a pień jego był tak ogromny, że w jego wydrążeniu można było pomieścić stół na 10 osób wygodnie siedzących. Spalony w części, ścięty został w r. 1812. Pozostała dolna część pnia użytą została na podstawę do altany; ma ona 20 łokci obwodu a 6 łokci w średnicę. Z obliczenia słojów w tym dębie, okazało się, że miał lat blizko 900; wiadomo bowiem, że corok jeden słój drzewa przybywa.

Wzrost dębów jest powolny, w 100 roku pień zaledwie gruby jest na 18 cali. Dęby rosną tak w starym, jak nowym lądzie; najpiękniejsze gatunki przytrafiają się na półkuli północnej —umiarkowany klimat sprzyja wzrostowi dębów, gorące kraje i zimne zupełnie tych drzew nie mają.

W naszych lasach mamy dwa gatunki dębu, to jest *pospolity* i *szypułkowaty*.

Dąb pospolity poznaje się głównie po tem, że owoce jego zwane żołędzią, na bardzo krótkich wiszą szypułkach, u drugiego zaś gatunku mają długie szypułki; wreszcie pospolity gatunek dębu rozwija liście o dwa tygodnie później od dębu szypułkowatego.

Dęby należą do najokazalszych drzew w naszych lasach—długo rosną, bo drzewa 500 lat mające w środku zupełnie są zdrowe. W różnych rosną położeniach, na górach i równinach, na gruncie tylko wilgotnym się nie udają.

Powszechnie są znane użytki samego drzewa, które jest białawe, ciężkie i twarde; zarówno korzystnie się używa do budowy suchéj i podwodnéj, psuje się prędko tam, gdzie naprzemian susza i wilgoć działają. Dąb długo leżąc pod wodą, nabiera większej twardości i czarnego koloru, tak, że zastąpić może heban. Kora dębowa głównie jest przydatna do garbowania skór, i w tym celu dobrze jest hodować dęby niskopienne, bo kora z młodych gałązek najlepsza jest w garbarniach. Prócz drzewa i kory pożyteczne są żołędzie; palone i zmielone wydają napój do kawy podobny—najważniejsze zaś ich użycie jest na paszę dla trzody chlewnéj. Wieprze tuczone żołędzią wydają jędrniejszą słoninę, aniżeli gdy są żywione bukwią lub innym pokarmem. Wyrostki na liściach dębu zwane *galasem*, używają się do farbowania na czarno i do robienia zwyczajnego atramentu. Te wyrostki pochodzą od zakłucia liścia przez owad, nazwany *galasówką dębową*, a należący do owadów pszczołowatych. Ukazują się one albo pojedyńczo na liściach, albo też są tak liczne, że liść zdaje się być w grono winne zamieniony. Narośle galasowe są mieszkaniem owadu w jego stanie niedoskonałym, to jest w stanie liszki; po zupełnem wykształceniu się owadu, tenże wygryza sobie otwór i nim wyłazi—dlatego też dawne galasy są zawsze podziurawione. Na naszych dębach galas nie jest tak dobry, jak ten, co nam z Węgier i ze Wschodu przychodzi. Ten ostatni tworzy się na innym gatunku dębu, zwanym *galasowym*, który głównie rośnie w Azyi nad brzegami Śródziemnego morza. Dodać tu musimy, że galasy niepodziurawione, czyli takie, w których się jeszcze owad znajduje, są w handlu więcéj cenione.

Oprócz dwóch gatunków wymienionych, rośnie w południowej Europie *dąb korkowy*, odznaczający się warstwą kory, która jest gąbczasta, sprężysta, znacznie gruba i stanowi zwyczajny korek. Zdzierając z takiego dębu owo pokrycie, tworzące wierzch kory, nie uszkadzamy samego drzewa, bo nie tykamy ani słojów korkowych, ani łyka, w którém siła żywotna drzewa się mieści; dlatego też z jednego drzewa kilka razy korę odzierać można. Kora dębu korkowego odziera się co lat 10, po raz pierwszy wtenczas, gdy drzewo ma lat 15. Zdarta po raz pierwszy kora zdatna jest tylko do spalenia, po latach 10 obiera się kora powtórnie. Taki korek nie jest jeszcze dobry, wszakże już się używa; po trzecim dopiero zbiorze otrzymujemy piękne tafle korkowe, już przydatne do wyrabiania korków.

Oprócz znanego użycia korków, pokrywają jeszcze taflami korkowemi domy, jak to ma miejsce w Hiszpanii, gdzie równie wyrabiają z tego materyału mnóstwo rzeczy, jakoto: sprzęty domowe, naczynia do picia, talerze i t. d. Węgiel ze spalenia korka pozostały, stanowi *sadze Hiszpańskie.*

Z gatunków amerykańskich zasługuje na wzmiankę *dąb farbierski*, który w rodzinnym kraju używa się do budowy. Dostarcza on wybornego farbnika żółtego, który się znajduje w korze, i z niéj otrzymany zowie się w handlu *Quercitron* (kwercytron); farbnik ten korzystnie się używa do farbowania na żółto materyj wełnianych, jedwabnych, tudzież do papierów kolorowych. Kora tego dębu zawiera także wiele garbnika i dlatego używa się w Ameryce do garbowania skór, którym nadaje kolor żółty.

Różności Tygodniowe

Jana Rychlaka.

Niedziela 7ma (1) i ostatnia.

Majster Sporny wydał za mąż swoję starszą córkę, a jakie wesele jéj wyprawił, to jak żyję takiego nie widziałem! Wartoby wszakże, żeby wszystkie wesela w naszym stanie tak się odbywały; bo to tak było.

Najprzód i rodzice i *państwo młodzi* zaprosili tylko swoich najbliższych krewnych i najlepszych przyjaciół, więc nie było takiéj hałastry, jak to po innych weselach. Majster zaprosił także kilku ze swoich najulubieńszych czeladników, więc jakby mnie kto na sto koni wsadził, tak się ucieszyłem, gdy i mnie ten honor spotkał. Ubrałem się jak mogłem najlepiéj, i wraz z innymi punkt o 10téj rano byłem już u Fary; bo majster wszystkich weselnych prosił, aby tam zeszli się w kaplicy Bractwa Literackiego, do którego sam należy, i mówił:

— Miło to z przyjaciołmi obchodzić wesele swego dziecka — ależ mnie się widzi, że więcéj nierównie znaczy wspólna z nimi w ten dzień modlitwa, niżeli zabawa; więc zamówiliśmy z żoną wotywę, i prosimy, abyście jéj wraz z nami wysłuchali, i westchnęli o Boskie błogosławieństwo dla naszéj kochanéj Ludwiki.

Po nabożeństwie i po ślubie zebraliśmy się na sali, co majstrostwo na ten dzień najęli, bo u nich za ciasnoby było; a choć majster nienawidził hulanek, jednakże nie był od tego, żeby przy takiéj okazyi młodzież nie miała trochę poskakać—ale to dopiero o zmroku nastąpiło, na co niedługośmy czekali, bo to było w sam dzień Śtéj Katarzyny w listopadzie. Nim tedy skrzypki i basetle zagrały, my ten czas przecudownieśmy przepędzili. Najprzód zasiedliśmy dwa stoły, starszyzna przy jednym, a młodzież przy drugim. Zapomniałem powiedzieć, że córkę majstra już od roku upodobał sobie syn gajowego z Jabłonny, kiedy majster tam przez lato mieszkał; bo miał robotę przy pałacu, co to w nim kiedyś mieszkiwał książę Józef Poniatowski, a ta pani, co po nim odziedziczyła, jego siostrzenica, serdecznie dbała, żeby tam wszystko zachować w porządku dla pamiątki. Więc i gajowy był to o kuli stary wiarus z pułku księcia Józefa; a że bór ogromny, a staremu dozór był uciążliwy, więc syn jego żwawy, a poczciwy chłopak Józef Kamocki, dany mu był do pomocy i na jego miejsce się sposobił, gdy ojciec pójdzie na gracyalistę.

Tego to tedy Józefa Kamockiego z Ludwiką Spornówną obchodziliśmy wesele.

Jak nas tylko przy stołach zasadzono, zaczęła majstrowa z młodszemi córkami znosić i znosić różności do jadła. Było tam i pieczonego, gotowanego i smażonego mięsiwa, ciasta, jarzyn co niemiara; przed każdym butelka piwa, a wódki to ino trzy razy nalewał nam po kieliszku sam majster Sporny, to jest przed barszczem, po baraninie i po kaszy jaglanéj ze śliwkami. Na wypicie zdrowia *państwa młodych* nalał nam majster po kufelku miodu i powiedział:

Na tem basta; poczęstujemy jeszcze naszych miłych gości przy tańcu herbatą, piwem, przekąskami, ale pijatyki pewnieście się u mnie nie spodziewali, bo mnie zdawna znacie i wiecie, że jéj nigdy u siebie nie dopuszczę.

O! zawołał stary wiarus, ojciec pana młodego, jak widzę, to tu nie zaśpiewamy téj piosneczki, co to za moich lat młodych na weselach śpiewano:

A kto nie wypije,
Tego we dwa kije;

(1) *Przypisek Redakcyi.* Tyle tylko dało się wyciągnąć z pisanéj książki, którą nam wnuk Jana Rychlaka nadesłał, gdyż dalsze kartki tak są podarte, iż nie sposób z nich całości ułożyć, a szkoda, bo poczciwy Rychlak wszystko dobrze uważał, i wcale nieźle opisywał.

Łupu cupu, cupu łupu!
Tego we dwa kije.

— Ja tę piosnkę śpiewam, odrzekł wesoło majster, ale po swojemu, oto tak:

A kto się upije,
Tego we dwa kije;
Łupu cupu, cupu łupu!
Tego we dwa kije!

Czeladź majstra powtórzyła, przyklaskując całą tę strofkę, a jeden z gości zaśpiewał potem:

Kto na zastaw pije,
Tego żyd obije;
Łupu cupu, cupu łupu!
Tego żyd obije.

Rozochoceni takiemi przyśpiewkami, to jedni, to drudzy coraz coś nowego wymyślali, jak np.

Kto poniedziałkuje,
Tego bies okuje;
Będzie mu tam cupu łupu!
Gdy go bies okuje.

—

A kto karczmę lubi,
Ten duszę zagubi;
Będzie w piekle łupu cupu!
Gdy duszę zagubi.

—

Biedna żona taka,
Która ma pijaka;
Bo po plecach łupu cupu!
Znosi od pijaka.

—

To i dziewczęta chórem z nami tę ostatnią piosnkę zaśpiewały, a byłoż śmiechu i uciechy.

—Nie wybornaż to rzecz, powiedział szewc, jeden z gości, że my się tu tak doskonale bawimy, tak się uśmiejemy, a nie popiliśmy się, i tylko jeszcze sobie żartujemy z pijaków?

—A to właśnie dlatego, odrzekł inny, tak się dobrze bawimy, tak szczerze jesteśmy weseli, żeśmy trzeźwi, i mamy niezalany rozum na koncepta, co nas tak śmieszą i do serca wszystkich przypadają.

— Dobrze mówisz kolego, bo gdybyśmy się byli popili, to jużby niejeden pod stołem leżał, niejednaby z mdłościami z izby do sieni wybiegała; jużbyśmy się może i pobili, poczubili, i ślicznażby to była zabawa? Niech żyje majster Sporny, że nas uczęstował, a nie upoił.

— Niech żyje! zawołali wszyscy, a on pokłoniwszy się, rzekł:

— Bóg wam zapłać, że się tak zgadzacie, i bez obrazy Boskiej wesele mojej pierworodnej obchodzicie. Jak nam tu dobrze wszystkim sobie w równości w jedności, a czy wiecie, że gdyby nie moja poczciwa a rozsądna żona, to o mało o mało, żeśmy naszej Ludwiki, dzisiejszej *panny młodej* na paniątko nie wystrychnęli?

— Jakto? kiedy? jakim sposobem? zapytało kilka głosów.

— Kiedyście ciekawi, to póki *moja* z córkami ze stołów nie posprząta, póki muzyka nie nadejdzie, opowiem wam jak to było.

Obstąpiliśmy wszyscy we dwa rzędy majstra Spornego, a on tak zaczął:

— Temu akurat lat czternaście, bo Ludwika miała wtedy lat 6, byłem na robocie przez całe lato w Willanowie, bo tam przerabiali pokoje bardzo uszkodzone przez nieostrożność stolarzy układających posadzkę. W nocy od węgli na kominku zostawionych zapaliły się wióry, i o mało cały ten prześliczny pałac nie zgorzał. Więc było dość mularskiej roboty około trzech pokoi, bardzo zniszczonych przez pożar. Zabrałem się tedy z żoną i z dziećmi do Willanowa. Wiele tam pań przyjeżdżało z Warszawy na letnie mieszkanie. Między innemi mieszkała w ślicznym domku starszego ogrodnika wdowa po urzędniku z bardzo miłą córeczką Karolinką. A że my mieszkaliśmy w pierwszej chatce, co się rzędem przy ogrodzie ciągną, więc nasza Ludwisia często gęsto spotykała się i bawiła z małą córeczką wdowy, która wcale złém okiem na to nie patrzała, bo nie była wcale dumną ani pyszną—trzymała nam do chrztu naszego synka, co się nam urodził w Willanowie. Przytem poznała zaraz ta pani, że nasza Ludwisia nie ma żadnych złych zwyczajów, że ją matka w posłuszeństwie i bogobojności wychowuje; przeto rada była, że jej jedynaczka miała dobrą towarzyszkę do zabawy. Przyjaźń panienki dla naszej dziewczynki z każdym dniem się powiększała; dzieliła się z nią wszystkiem, co miała, na całe dnie do siebie zabierała, i nie mogła ani się bawić, ani jeść, ani nawet się uczyć, kiedy przy niej Ludwini nie było. Ku jesieni trzeba było téj pani wrócić już do Warszawy, przyszła tedy do nas jednego wieczora i tak zaczęła:

— Nie potrzebuję mówić wam o przywiązaniu mojej Karolinki do waszej Ludwisi; widzicie to sami, przywykła ona żyć z nią w parze, przy niej jest szczęśliwszą i lepszą. Gdy się dowiedziała, że wkrótce ztąd mamy odjechać i rozłą-

czyć się z Ludwisią, od téj pory nic ją nie bawi, często płacze, niczem się zająć nie chce, jakby jéj połowę życia odjęto.

Moja żona przerwała mowę tej pani, chcąc jej podziękować za taką przychylność, ale wdowa nię dała jéj dokończyć i dalej mówiła:

— Jeżeli prawda, że jesteście wdzięczni, to możecie tego dowieść, a to zezwalając, aby Ludwinia została prawdziwą siostrą Karolci.

— Jakto? zapytałem zdziwiony.

— Oddajcie mi ją—a że zobaczyła, iżeśmy się oboje na to wzdrygnęli, zaczekajcie przydała, wysłuchajcie mnie do końca. Nie chcę ja odrywać od was waszéj córki, ani pozbawiać jéj waszego przywiązania; nie idzie tu, aby jéj odebrać rodzinę, ale aby jeszcze jednę przydać. Ja przez to będę miała dwie córeczki, a wam jéj nie ubędzie, bo wasze prawa nad nią zachowacie. Wasza córka będzie do was przybywać, ile razy zechcecie.

Żona moja podniosła głos, stawiając opór.

— Zaczekajcie, mówiła wdowa, jeszcze nie skończyłam. Wszak przedewszystkiem pragnie cie szczęścia waszego dziecka, a najpierwszem życzeniem waszem jest, aby jej przyszły los spokojny zapewnić; ja się tego podejmuję.

— Ach! łaskawa pani, zawołała moja żona, od czegoż to los spokojny zależy?

— Proszę mi nie przerywać, kończę daléj. Wasza Ludwisia nietylko, że będzie podzielać wszystkie rozrywki, zabawy, ale i nauki z moją córką, mogę jéj nawet dać kiedyś mały posag, bo jestem dość bogatą i przez to nie ukrzywdzę mojéj córki, uszczęśliwię ją owszem, dając jéj tak ukochaną przez nią towarzyszkę.

Była to rzecz tak dziwna, tak niespodziewana dla nas, iż staliśmy w osłupieniu, nie mogąc się zdobyć na odpowiedź. Postrzegła wdowa, co się w nas dzieje, i rzekła, powstając:

— Rozmyślcie się nad tem, jutro dacie mi odpowiedź, a jeżeli zezwolicie, dam na piśmie i prawnie zatwierdzę moje przyrzeczenia. Oto macie tu w tym koszyku ubiór Karolinki, przeznaczony dla jej przybranej siostry. Czuję sama, że dalsze w tem rozmowy są zbyt wzruszające dla was, oto i ja sama ledwie się od łez wstrzymać mogę; jeżeli przeto namyślicie się, to przyprowadźcie mi jutro rano Ludwisię w tem ubraniu, co tu przyniosłam; jeżeli nie, to ochrońcie mojéj biednej córce żałości pożegnania, niechże się już z waszą Ludwinią nie widzi, bo my jutro wyjedziemy.

To rzekłszy, uścisnęła rękę mojéj żony i odeszła. Małgosia oparła się o stół, zakryła twarz fartuszkiem i płakała. Długo ani ona do mnie, ani ja do niéj nic nie mówiliśmy, nakoniec ja przemówiłem:

— Uspokój się Małgosiu, nietrzeba tu się rozczulać, ale wypełnić obowiązek.

—Alboż to nasz obowiązek, odrzekła Małgosia, wyrzekać się praw naszych nad naszem dzieckiem?

— Na co się smucić, odpowiedziałem, kiedy to dla dobra naszego dziecka? podziękujmy za to Bogu i chodźmy spać. Jednakże choć żonie dodawałem ducha, sam tak się z myślami pasowałem, iż całą noc oka nie zmrużyłem; a wstawszy przededniem, ujrzałem Małgosię przyrządzającą sukienki przyniesione przez wdowę. Już nie ubolewała, bo to tęgiéj natury kobieta, jak raz nad czem się zastanowi i myśli, że jéj poświęcenie się jest potrzebne, spełnia to bez narzekania. Gdy się Ludwinia obudziła, zaczęła ją matka ubierać w pańskie sukienki. Dziewczynka z początku była bardzo zdziwiona, i zapytywała matki, co to znaczy? Lecz ta tłumiąc łzy, odpowiedzieć nie mogła. Zdziwienie Ludwiki wnet zmieniło się w zachwycenie; za każdym nowym szczegółem pięknego ubrania wykrzykiwała radośnie. Spodziewając się, że trochę uśmierzę jéj uniesienie, powiedziałem, że od nas odjedzie, że nas porzuci i pojedzie z matką Karolci do Warszawy; ale ta wiadomość żadnego prawie wrażenia na dziewczynce zajętéj strojami nie zrobiła. Małgosia smutnie na mnie spojrzała, a dziecię zaczęło samo bardzo skwapliwie dokończać swego ubierania i szczebiotać, jaka to będzie dla niéj radość jechać w pięknym pojeździe, jak ją wiejskie dziewczynki wezmą za panienkę, jak gdy poznają, zazdrościć będą i t. p. Matka skończywszy ją ubierać, zaczęła ją serdecznie całować, do serca przytulać, a dziewczynka odwracając ją zlekka rączką, zawołała: ach ostrożnie mamo, bo mi kołnierzyk pognieciesz.

Małgosia na głos się rozpłakała, ja sam zadrżałem; otworzyły mi się oczy, rozjaśniło mi w myślach—wziąłem dziecię za rękę, zaprowadziłem do pobocznéj izdebki, a wróciwszy do płaczącéj Małgosi, rzekłem:

—Myślałem dotąd, że dobrze zrobimy, gdy dziecię nasze oddamy dla jego dobra w cudze ręce, ale teraz dostrzegłem...

— Ach więc i ty widziałeś... wyjąkała biedna matka.

— Widziałem, iż piękny ubiór już zacierał w jéj sercu, że się od nas oddala, a próżność kazała jej z obawy o zgniecenie kołnierzyka usunąć się od uścisków matki.

— Ach dzięki Bogu, żeś to zobaczył, zawoła pół we łzach, pół uradowana moja poczciwa Małgosia; można przemódz swoję boleść i oddalić dziecię od siebie dla jego dobra, ale niegodzi się je narażać na zepsucie, skoro dostrzeżemy, że zmiana losu może je popsuć. Wszak i ty mężu zgadzasz się na to, iż już nie oddamy w obce ręce naszej Ludwini. Co jéj po bogactwie, jeżeli to ją na złą drogę naprowadzi, serce ku nam wyziębi? Co jéj po większéj nauce, jeżeli potem nas się ma wstydzić? W naszym stanie dla mężczyzn to trzeba nauki, aby ta ich w rzemiośle, w profesyi do doskonałości doprowadzała, a nie nadawała próżnéj fumy do mózgu, co z obranéj drogi poczciwej pracy sprowadza. A co dla nas kobiet, dość, abyśmy umiały na książce Pana Boga chwalić, i tyle porachować, żeby ani nas nikt, ani my nikogo przez niewiadomość nie pokrzywdziły. A tego, to i przy nas Ludwinia się nauczy; bo nie chwaląc się, umiem ekspedyte czytać nietylko na *Złotym ołtarzyku*, ale i na innych książkach, a i pisane wyczytam. Słuchaj mężu, wczoraj tylko z jednej strony tę rzecz względem Ludwini losu rozważaliśmy, dziś Bóg nam dał poznać, iż jest strona daleko ważniejsza, strona moralności.

Żyjąc jak paniątko, nasze dziecię wnetby nas zapomniało, może nawet wstydziłoby się własnych rodziców, siostr, braci. O niech tak nie będzie, pozwól, pozwól mój dobry mężu, że zdejmę z Ludwini to ubranie, a zostanę jéj matką, aby była zawsze godną być twoją córką.

I poczciwa kobieta rzuciła mi się, szlochając na szyję. Słuchałem jej z rozczuleniem. Ona zawsze tak milcząca, tak mało mówiąca, zkąd jéj tyle słów pięknych, a przekonywających? O! bo to Bóg przez Anioła-stróża spuszcza takie myśli i uczucia do serc poczciwych matek.

Więc Małgosia przemogła nademną. Według umowy naszej z tą panią, nie poszliśmy do niej na pożegnanie, ale odsyłając sukienki, napisaliśmy list, wykładając jak można najgrzeczniej, co się nam z Ludwisią zdarzyło. Dobra ta pani odpisała list serdeczny, kończąc temi słowy:

Zrozumiałam powody waszego odmówienia, jesteście prawdziwie dobrymi i poczciwymi rodzicami, kiedy dla samej obawy, aby zmiana losu nie zepsuła serca waszej córki, odrzucacie to, co jej w istocie może tylko napozór lepszy byt zapowiadało.

— I cóż na to mówicie kochani przyjaciele? zazapytał majster, skończywszy opowiadanie.

— Mądrze wasza żona postąpiła, odpowiedział stary wiarus; gdyby była Ludwikę oddała tej pani, nie miałbym dziś tak miłej synowej.

— Anibym znał mojej kochanej żony, przydał Józef Kamocki, całując ją serdecznie, na co *panna młoda* zarumieniła się jak jagoda, i poszła ucałować ręce ojca i matki, dziękując im, że jej od siebie w dzieciństwie nie oddalili.

— Gdybym się była wychowywała z panną Karoliną, pewniebym nie natrafiła na męża, któregobym tak kochała, jak ciebie mój dobry Józefie, powiedziała *panna młoda*, i nie używałabym szczęścia rodzinnego między sobie równymi.

— Bo to, przydałem uradowany, że już skrzypek zaczął pociągać smyczkiem, najlepiej kiedy *ożeni się równy z równą*, *organista z kantorówną*.

— Dalej w pary! zawołał starszy drużba; powynoszono stoły, i jak się zaczęły polonezy odbijane, krakowiaki, obertasy i mazury, tak ani chwili przerwy nie było. Ale o samej dwunastej, zaszły sanki *pana młodego*, który zabrał żonę i rodziców swoich do Jabłonny, a wszyscy goście się rozeszli, żeby jutro stanąć, jak zwykle, każdy do swojej pracy.

— Czyż nie prawda, że wszystkie nasze wesela takby się powinny odbywać?

Przysłowia.

1. Kto z Bogiem zacznie, uczyni bacznie,
   Bo Bóg tego nie opuści, kto się nań spuści.
2. Kogo Bóg ma w swéj obronie,
   Ten w złéj nawie nie utonie.
3. Pewno się ród ten nie sponiewiera,
   Gdy jak noga nogę, tak brat brata wspiera.
4. Bogaty posag to jest białogłowie,
   Gdy cicha w sprawach, cicha i w rozmowie.

W drukarni J. Unger.—Wolno drukować. Warszawa d. 18 (30) czerwca 1857 r.—Starszy cenzor, *F. Sobieszczański.*